

Marek Sołtysik

Wyszarpany z życia

Palestra 51/1-2(577-578), 134-140

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

WYSZARPANY Z ŻYCIA

Kraków, noc wczesnych lat pięćdziesiątych. Długo myśl – szybko czyń. Nad zapisywaną z pozoru rozważnie kartką siedzi młody szczupły mężczyzna w rogowych okularach. Zdjął okulary, czyści szkiełka. Teraz widać, ile liryzmu jest w jego chłopięcej twarzy. Ojciec i mąż – czuwa; za zamkniętymi drzwiami jego żona i dzieci mogą spać spokojnie. Do jego mieszkania nie wtargną uzbrojeni barbarzyńcy, nie stanie się nieszczęście, jakie się stało w jego rodzinnym domu w Wilnie, gdzie namierzili ojca, profesora prawa karnego i kryminalnego Uniwersytetu Stefana Batorego... Andrzej Wróblewski odgania straszne wspomnienia, ma teraz inny dylemat: „być czy nie być w partii”. Na razie z pędzlem w dłoni wpatruje się w obraz malowany noc w noc od kilku tygodni. Znany już jako świetny malarz, magister filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego i rogiaty asystent w Akademii Sztuk Pięknych, znów nie wytrzyma: jutro, jak to robi przynajmniej raz na miesiąc, bez pożegnań i tłumaczeń opuści miasto siedemdziesięciu kościołów z padającym na nie czerwonym rumieńcem przybranej siostry Nowej Huty. Jak zawsze w chwilach rozterek, uda się w podróż po Polsce – z bliżej nieokreślonym terminem powrotu.

Na solidnie zbudowanych i do niedawna funkcjonalnych dworcach Ziem Odzyskanych, świeżo pamiętających zupełnie inne porządki i innych ludzi, nie zawsze dochodzi do przesiadek. Podobnie i na dworcach śląskich miasteczek. Ten dziwny pasażer na wólczęę wprowadzie nie wygląda, ale zachowuje się podejrzanie. Znaczący, niby, obywatel, wolny człowiek; nie przesiada się, kiedy należy – nie zorganizowany. Ale jak tu obserwować obserwującego: tego, który bywa tak zajęty fizjonomią kelnera w dworcowej restauracji, że rysując go wnikliwie, przegapi swój pociąg?! Nie upija się, nie zaśmieca terenu, ma ważny bilet, nie podnosi głosu – nawet najbardziej służbisty stróż publicznego porządku nie znajdzie podstaw do interwencji. Funkcjonariusza aż świerzbią ręce, tak chciałby wziąć do ręki dowód osobisty obcego..., który tymczasem w ostatniej chwili ładuje się z tym swoim blokiem rysunkowym do ruszającego pociągu. A oto już Poznań Główny – peron 5. Przecież trzeba bardzo dokładnie, z precyzją godną może lepszej sprawy, narysować wagon towarowy: deseczka po deseczce, metalowe złącza. A, to tak są umocowane koła...

W szkicownikach zatrzymuje na zawsze postacie inwalidów – tu człowiek bez ręki, tam bez nóg, na deseczce, o, wielu inwalidów wojennych, mężczyzn o wciąż jeszcze, albo już nigdy niewygojonych ranach. Inny pasażer – ułomny, garbaty. Andrzej Wróblewski opisuje te rysunki lakonicznie – ale już z myślą o zatrwających obrazach, które w jego pracowni powstaną w parę lat później... powstaną w parę lat później i nie będą się nikomu podobać. Ani estetyzującym profesorom kapistom (tym samym, którzy przed wojną wykończyli Artura Schroedera, a teraz korzystają z parasola ochronnego komunizujących przed wojną kolegów, obecnie we władzach Związku Polskich Artystów Plastyków), ani karierowiczom, którzy w sztuce niewiele mają do powiedzenia i będą chętnie powielać najgorsze radzieckie wzorce, jako realizm socjalistyczny usankcjonowane w tak zwanych demoludach.

Co zrobić z kimś, kto nie pasuje do żadnej epoki – zdaje się przemyśliwać. Robi rysunek z pozoru optymistyczny: dziewczyna w gustownym kostiumie, elegancka. W podpisie jednak ślad intrygi: „Ta, co przeszła torami za pociąg”. (Obserwujący rysownika tym razem na obrzeżach stacji Łódź Fabryczna stróż praworządności, gdyby podszedł bliżej, odczytawszy podpis byłby pewny, że to dla niego wskazówka i że ma oto do czynienia z lepszym specem).

Gdyby wiedział, o czym myśli ten, który niepostrzeżenie opuścił dworzec, żeby wędrować po najmroczniejszych zaułkach!... a potem, z nadejściem nocy, wróci na peron, wsiądzie do wcześniej zapewne wybranego pociągu i tłukąc się od stacji do stacji, zamiast spać, będzie pisał do przyjaciółki:

Czuję się zdrów na ciele i chory na umyśle (...) W myśl założeń jestem obecnie wykończony (...) Samotna podróż poszła mi doskonale – nauczyłem się kląć ekspedite i godzinami czekać na pociąg z kamiennym wyrazem twarzy.

Jedni będą mu zarzucać, że jest w twórczości malarskiej za bardzo literacki, inni – że się wyłamuje z mdłej doktryny socrealizmu.

Żeby nie sfałszować obrazu: Wróblewski jest na razie z całym przekonaniem oddany nowej rzeczywistości, uważa, że każdy autentyczny twórca znajdzie w niej miejsce dla swojego talentu, byleby tylko nie słabł ogień jego zaangażowania. Ma wręcz tendencje przywódcze. Wybiera najzdolniejszych i żwawych z jednego świetnego roku studiów w krakowskiej ASP i zakłada Grupę Samokształceniową.

Zanim jednak wypracuje założenia teoretyczne oraz wymyśli tematy obrazów (dużych, nieodmiennie tych samych formatów) i będzie je przydzielał ocalałym z wojny kolegom – Walerianowi Borowczykowi, Witoldowi Damasiewiczowi, Konradowi Nałęckiemu, Andrzejowi Strumille, Janowi Tarasinowi, Andrzejowi Wajdzie (ależ plejada nazwisk!) – sam trochę się narażając, sprawdzi doświadczalnie, jak wygląda ta rzeczywistość. Przewodnikiem będą oczy, nos i serce artysty. Kto tylko spojrział na Wróblewskiego, a nie miał pstro w głowie, musiał od razu nabrać pewności, że to nie jest facet, któremu wystarczy, że go wsadzą do autobusu i powiozą do huty czy do przetwórnicy ryb, żeby nazajutrz w miarę miło odtworzył radosny trud klasy robotniczej, ludu pracującego, ludności, społeczeństwa czy jak tam jeszcze. Odczytujemy z jego brulionu z datą 1949 (wszystkie cytaty z pionier-

skiej pracy „Andrzej Wróblewski nieznany”, opr. M. Tarabuła, galeria „Zderzak”, Kraków 1992):

Rajza:

Kraków–Mysłowice–Katowice–Szopienice–Sosnowiec pieszo–Będzin–Częstochowa siostry–dworzec Ł. Fabr.–ZPAP, cmentarz podmiejski, pociąg Łódź Fabr.–Poznań, szukanie noclegu, dworzec za peronówką–Muzeum, obiad, Łęgi dębińskie, park, dworzec jw. – ZOO, Gospoda Targowa, Muzeum–Stary Rynek, Przedm. Warsz., dworzec, pociąg Poznań–Katowice.

Teraz także wędruje. Między mózgiem, sercem a kartką papieru, ożywioną ciepłym światelkiem nocnej lampki. Z pamięci wyłaniają się twarze i sylwetki kolegów. Przeszłość i przyszłość. W przyległym pokoju śpią spokojnie najbliżsi.

Pisze ołówkiem:

Być czy nie być w PZPR?

Rozrysowuje rubrykę.

Pro: twórcze samopoczucie (podkreśla). Contra: stan zdrowia.

Pro: środowisko mobilizujące. Contra: awans (szeroko pojęty) + materiał do pracy artystycznej. Contra: powolna praca osobista z wszelkimi utrudnieniami materialnymi.

Pro: szacunek ludzi, których szanuję. Contra: wróg w domu – podwójne życie (podkreśla).

Dalej między innymi. Za – możliwość rozbudowywania warsztatu i tematyki; przeciw – nacisk niezadowolonych + przymus polityczny.

„Niech wasze słowa będą: tak, tak – nie, nie; a co inne jest, od złego jest” – głosi Pismo. Czasy takie, że nijak nie da się w czyn wprowadzić szlachetnych, kanonicznych świętych prawd. Stanie się rzecz okropna: Andrzej Wróblewski – posługując się wymyślnymi strzałkami, niewiele mającymi wspólnego z prostotą – sam się zmusi i wreszcie nakreśli znak równości między „pro” a „contra”. Bo rozumując dojdzie do wniosku, że tak po lewej, jak i po prawej stronie ustawiło się to samo, a mianowicie, po pierwsze *środowisko karierowiczów*, po drugie *szacunek ludzi (których nie szanuję) + środowisko donkiszotów i reakcjonistów*.

Poczuł się przetrącony.

Za pół godziny nastanie świt. Chwile tuż przed odejściem nocy najgorsze dla człowieka, który nie spał i wie, że w nowym dniu także nie zmrzyży oka. Co zrobić z drażniącym sztucznym światłem? Zastąpić je dobijającym, trupim? Zapalić tę nowinkarską, sprowadzoną z Zachodu, jasnoniebieską żarówkę, która usuwa cienie i pozwala malować po nocach? W trupim świetle tak wcześniej dobijają talent?... Andrzej Wróblewski, urodzony w 1927 w Wilnie, w rodzinie rektora, wychowany w aurze kultywowania szczytnych wartości moralnych i estetycznych, on, ułożony, wysublimowany, wrażliwy ale nie przewrażliwiony, syn wybitnego prawnika i artystki graficzki, Krystyny z Hirszbergów, jako czternastolatek był świadkiem nagłej, potwornej śmierci ojca. Profesor prawa Bronisław Wróblewski w swoim mieszkaniu w Wilnie nie wytrzymał ogromu okrucieństwa, tryumfu bezwzględności i dzieła

nieodwracalnego zniszczenia podczas rewizji przeprowadzanej przez żołdaków totalitaryzmu (rok 1941, ale kiedy?, jeśli do czerwca, z chrzęstem broni wtargnęli naziści, jeśli potem – komuniści). Rażony apopleksją, w wieku pięćdziesięciu trzech lat umarł na oczach najbliższych.

Teraz syn się boryka. Z bólem serca, ale i po to, żeby chronić duszę przed naporem traumatycznych wspomnień, maluje jeden z pierwszych obrazów o tematyce martyrologicznej: „Rewizja”. Napadnięta rodzina. Matka, konający ojciec, bezradne dzieci: Andrzej i jego o rok młodszy brat. Ci, którzy wtargnęli, w hełmach, w grubych sukiennych płaszczach i z bronią gotową do strzału, mają na obrazie krój mundurów i kształt hełmów umowny. Artyście wolno uogólnić, zwłaszcza kiedy jest pełen obaw, a przecież nie chce wsiąknąć. Nie jest stąd, a choć tu go naturalizowali, znad Wilii przeflancowanego nad Wisłę, starają się go przygarnąć, uznając za swego, na swój sposób przychylają mu nieba (bez Boga), coraz dotkliwiej odczuwa obcość, nie znajduje także zrozumienia u najbliższych (może sam nie szuka, zajęty ważniejszymi z pozoru sprawami). Jak każda nieuwaga, zemści się to, a na razie... błękitne światło, zimne jak dla bezdomnego zimowy przedświt. Maluje, na razie w tajemnicy, „Rozstrzelania”, ukrywa przed domownikami płótna, z których krzyczą niebieskim kolorem śmierci martwe lub do połowy niebieskie ciała umierających w obrazach „Matka z martwym dzieckiem”, „Dziecko z umarłą matką”. Jeszcze echa modernistycznej sztuki Muncha czy już własne, subiektywne aż do bólu widzenie świata? Artysta wyrwa gwoździe z blejtramów, ściąga z nich niedawno malowane płótna z miłą abstrakcją geometryczną, przyciągającą, zapraszającą do życia, odwraca je i na powrót nabija płótno na blejtram. Abstrakcja pozostaje na tzw. malarskim odwrociu. Tył płótna (obecnie lico) zostaje na nowo zagruntowany, a gdy grunt wyschnie i znowu zapadnie noc, Andrzej Wróblewski będzie na tych „przenicowanych” płótnach malował żywych barwnych w jednej rzeczywistości z bliskimi umarłymi. Z niebieskimi.

Tak zwane środowisko nieraz całymi latami przygląda się ludziom nowym, utalentowanym, lecz dziwnym, ciekawie, zdawać by się mogło, z życzliwością. Ten jednak przetrwa, kto się nie brzydzi i wejdzie w układy. W układy nie chciał wchodzić Wróblewski, zdecydowanie lewicujący, o inteligenckim *par excellence* rodowodzie. W latach pięćdziesiątych – już na roku dyplomowym! – był asystentem w krakowskiej ASP. Trochę lewe (bo ileż w nich prawdy?) zaświadczenia o tym, że asystent w pełni realizuje postulaty socrealizmu, wystawiała mu profesor ASP, sławna Hanna Rudzka-Cybisowa (zachowały się te dokumenty). Cybisowa weszła w układy, a choć robiła swoje tak jak przed wojną – była kolorystką, „kapistką”, i tylko tytuły niektórych jej obrazów zahaczały o socrealizm – to jednak funkcjonowała jako przedstawicielka nowego. Widocznie jej to nie przeszkadzało. Do końca długiego życia miała się świetnie, uniknęła kolizji na zakrętach historii. Wróblewski natomiast nie mógł się pogodzić z tą obłudną stroną rzeczywistości, na którą przecież przeszedł! Dlatego uciekał w Polskę, rysował ludzi w poczekalniach dworcowych – nieszczęśników, złodziei, kontrolerów, kelnerów, kolejarzy, wreszcie obarczanych

domiarem, ale wciąż jeszcze tęgich rzemieślników z rodziną i z chmurą zgryzoty na czole – ludzi bardziej żywych od tych, których zostawił w murach uczelni, w stołówce związku plastyków, w kularach komitetu partii.

Czasy ciężkie, przy świadomości zdobytej bez wysiłku pozycji niekiedy wręcz niemożliwe do przetrwania; funkcjonowanie w stosunkowo dobrych warunkach w sytuacji, gdy wielu niezależnych gnije w więzieniach za przekonania, fatalnie wpływa na trawienie u osobników mających mózg i serce na swoim miejscu. Większość kolegów, artystów na etatach, wykonywała dziwne ruchy: tkwiąc w miejscu, obracali się absurdalnie. A on chciał działać; tylko poprzez czyn można zapobiec katastrofie, przeciwstawić się złu, może z pomocą przyjaciół przełamać siłę zła. Gdzie szukać mądrych sprzymierzeńców? Przecież nie w gronie profesorów. Towarzystwo wzajemnej adoracji, każdy z nich koło pięćdziesiątki, każdy ustawiony, w razie czego zabezpieczony emerytalnie, z mieszkaniem, z osobną pracownią, z domami pracy twórczej, z życzliwą prasą i z otwartymi salonami wystawowymi... Po zamknięciu ekspozycji zgłaszał się do pani profesor czy do pana adiunkta urzędnik z ministerstwa, lub z wydziału kultury urzędu miasta, z uprzejmą prośbą o wyrażenie zgody na dokonanie zakupu wybranych dzieł. Tymczasem artyści niezależni (wcale nie jacyś krzykliwi i nie bojowi, tyle że oddaleni od koterii) z trudem wiązali koniec z końcem, w najlepszym razie zatrudnieni jako dekoratorzy witryn sklepowych. Na tych biedaków patrzyli z góry ci, którzy przed wojną byli awangardą i pracowali wówczas w Paryżu pod kierunkiem Józefa Pankiewicza w filii krakowskiej ASP, tworząc tzw. Komitet Paryski (w skrócie KP, a więc „kapiści”). Od połowy lat czterdziestych, żeby nie stracić wygód, teoretycznie przytakując władzom i ze wzmożoną uwagą odciskając profesorskie pieczętki na licznych aktach lojalności, malowali operując barwnymi plamami, świadomie lekceważąc rysunek, tworzyli estetyczne kompozycje, w których najważniejsza była harmonia koloru i waloru. Ich podobne jeden do drugiego obrazy przypominały dywaniki tkane z resztek wełny. Nadawali im tytuły związane z pracą, przestali dostrzegać cynizm tkwiący w tym procederze. Taka podwójna moralność napawała Wróblewskiego obrzydzeniem już kilka lat wcześniej, kiedy dane mu było poznać tych artystów w ich życiu prywatnym. Każdy z nich zrzucił hipokryzję, jak kitel ochronny z ramion, w momencie, kiedy zamykała się za nim brama Akademii. A już w domu, we własnej pracowni, to ho-ho, to ci dopiero były zuchy, przy szklaneczce wyśmiewające politykę kulturalną. Widział jak to jest, dostrzegał fałsz podwójnego oblicza, ale widocznie myślał, że jeśli nie on, to inni, gorsi zajmą jego miejsce. Wierzył, że nie da się wciągnąć w aż tak nieczystą grę, a na razie był głową rodziny. Zasiłił szeregi artystów akademików w okresie twardego kursu socrealizmu – raczej bez radości z awansu, głównie z troską o opędzenie potrzeb bytowych. Ożeniony ze studentką, Teresą Walerią Reutt, w oczekiwaniu ojcostwa (w ciągu paru lat przyjdzie na świat troje dzieci), wybrał lepszą formę zarabiania pieniędzy niż jak dotychczas dorywcze wykonywanie plansz i napisów z okazji świąt państwowych czy dekorowanie wystaw sklepowych. Ci, którzy mu zapewnili etat, nie mogli znieść młodego

kolegi, który (o czym już wkrótce się przekonali) nie dość, że nie zamierzał iść w takim jak oni chomącie, to jeszcze buntował rówieśników. On, który przyciśnięty kosztami w związku z narodzinami pierworodnego, miał niemal niezbitą nadzieję, że jego słuszny tematycznie, a dobrze namalowany obraz zawiśnie w krakowskim Muzeum Lenina obok płócien malarzy radzieckich, nagle srodze się zawiódł! Mieli kupić, zapewniali, a tu teraz kłapa, płótno odesłane. Dlaczego?... A dlatego, że wiele na ten temat mieli do powiedzenia jego do niedawna profesorowie, obecnie mili koledzy, właśnie głównie kapiści. Okazało się, że obsadzali także i te, *stricte* polityczne, komisje zakupów – i po prostu zemścili się na niepokornym. Nie przystaje do obowiązujących kanonów i już! Wraz z prztyczkiem dali mu delikatną wskazówkę...

Wreszcie oczekiwana odwilż. Kres realizmu socjalistycznego, powiew wolności w sztuce w ślad za istotnymi zmianami politycznymi po śmierci Stalina. Wielka od razu, pierwsza odwilżowa wystawa malarstwa w salach dawnego warszawskiego Arsenалу. Nazwa „Arsenał” wejdzie jako hasło kojarzące się z rozszarpaniem niewolniczych pęt do historii sztuki polskiej i tam pozostanie. Nowa rzeczywistość, powiew wolności w malarstwie, grafice i rzeźbie. Tak, ale na wystawie w Arsenale prezentowano nie tylko dzieła tych, którzy jako niezłomni tworzyli przez siedem ostatnich lat w „katakumbach”. Znalazły się tam także prace sygnowane i przez tych, którzy do niedawna wbijali się w garnitur socrealizmu. Ci sami – ale obrazy inne. Swobodne, malowane przez sytych. Andrzej Wróblewski odczuwał boleśnie fałsz tych łatwych nawróceń.

Jeszcze nie stracił sił. W liście do przyjaciela, Andrzeja Wajdy, zwierzał się z nowych planów:

*Tendencją wystawy będzie przeciwstawienie się odwilżowej bezmyślności i utracie innych celów życiowych poza jedzeniem i rozrywką. Wystawa ma wzbudzić pytanie: cośmy zrobili ze zwycięstwa śp. Okrzei i Waryńskiego? Czy nasz kraj, który z socjalizmu zrobił **tyranię spraw mało ważnych**, może z czystym sumieniem spojrzeć w oczy byle przedwojennego uczciwego nauczyciela, który po 45 roku stracił pracę i zaufanie wobec żelaznych praw rewolucji? (...) Wszystko to zresztą projekt nie zobowiązujący. W ogóle się nie przejmujemy, bo świat i tak jest obrzydliwy – Andrzej.*

Czy wyobrażał sobie śmierć pośród najczystszej powietrza? Czegoś takiego nie ważyłby się namalować; zrobią to za niego – jako filmowcy – dawni koledzy z Akademii. Kicz bowiem, groźny na płótnie, gaśnie na taśmie celuloidowej. Jego umykający cień wręcz staje się tworzywem – niezbędnym (takim, a nie innym właśnie) do wyrażenia humanitarnej treści.

Nie dożył trzydziestki. W sobotę 23 marca 1957 r. zdziwieni turyści i zdezorientowani nagle leśnicy, przechodząc w tę i z powrotem, w okolicach Morskiego Oka, w kilkugodzinnym odstępie czasu, obserwowali szczupłego mężczyznę siedzącego pod drzewem. Wcześniej świeciło słońce, teraz już zimno i przejmujący wiatr.

Obok mężczyzny książka, może notatnik... to, co miał w rękach kilka godzin temu; co chyba czytał. Wreszcie podeszli, w grupie. Ten pan nie żył.

Dziwne: ubrany normalnie, wręcz z pewną starannością... ale czemu na spodnie narciarskie naciągnął spodnie od pidżamy, w paski? Ma pogryzioną rękę i ślad otarcia na skroni.

To był Andrzej Wróblewski, całkiem niedawno odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Przybył do Zakopanego 13 marca, nabierał sił. Jego nagła i niespodziewana śmierć wywołała poruszenie w środowisku, wyzwalała niedobre emocje. Dokładna obdukcja, dokonana przez lekarzy z Instytutu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie potwierdziła aspektu kryminalnego, początkowo wysuwanego przez zaniepokojonych kolegów. Zbadawszy ustalono, że znękany artysta zmarł po ataku epilepsji.

Dziwna jednak rzecz z tymi spodniami.

Te wszystkie soerealizmy, poezje obrzydzenia, etykiety, które przylepia się do obrazów Wróblewskiego – nierównych technicznie, ale zawsze jako dzieła sztuki broniących się siłą wizji – wychodzą na zbędne jakieś podpórki. Te kompozycje są mocno postawione i przeto już nie wymagają rusztowań. Rusztowań od półwiecza do dziś stawianych przez krytykę, z jednej strony w celu usprawiedliwienia artysty, z drugiej – ku jego pognębieniu. W otoczce między dziełem a rusztowaniem tworzy się wypreparowane z uczuć pole doświadczalne dla naukowców, dla polityków, dla tyleż skrupulatnych, ile po omacku brodzących w starym błocie, badaczy nowszej historii. A Wróblewski malował po prostu los człowieka. Chodził najniewygodniejszymi drogami, zmęczony i z bagażem przeżyć stawał nagle w pełnym świetle. Niczym nieosłonięty, przez nikogo specjalnie niechroniony – sam się wystawił.

Najtrafniej, choć tak z pozoru zwyczajnie, rzecz ujął profesor Mieczysław Połębski. Zauważając, że Andrzej Wróblewski dawał świadectwo, pisał: „Już jednak obraz «Na zebraniu» nie mobilizował, a po prostu stwierdzał: są tacy a tacy ludzie – kobiety na zebraniu”.

W tym płótnie mniej widoczny, bo schowany pod chustkami i przepoconymi zakietami, był tragizm – jego potężny ładunek rozsadza liczne, dosłownie funeralne obrazy Wróblewskiego, z ludźmi niebieskimi, bez krwi już, bez nadziei, bez złudzeń, bez końca... Tragizm straszył najbardziej tych, którzy udawali, że tak łatwo jest ułożyć nowiutkie na gruzach. Drażniło ich, że do ich papierkowej roboty tuzinkowych demiurgów wtrąca się człowiek, który ani na chwilę nie zapomina, że w tej części planety ziemia jest pełna gnijącej krwi.